



Nie wierzę

„Byłoby mi dużo łatwiej gdyby Bóg do mnie przemówił. Gdyby powiedział cokolwiek. Niechby chociaż zakasłał.” (W.Allen)

„Byłoby mi dużo łatwiej gdyby Bóg do mnie przemówił. Gdyby powiedział cokolwiek. Niechby chociaż zakasłał.” (W.Allen)

Nie wierzę w Boga, który wydał na śmierć swojego syna. Nie chciałabym wierzyć w TAKIEGO Boga nawet gdyby pozwolił ukrzyżować swojego sąsiada, a coś dopiero syna! Nie myślę o tym w kategoriach ojcowskiego poświęcenia (co sugeruje Biblia), bo to żadne poświęcenie. Co innego gdyby Bóg był kobietą – matką, tą która naprawdę daje życie. Jednak matkę, która poświęciłaby w ten sposób swojego syna uważałabym za pozbawioną uczuć wyższych, a najprędzej za chorą psychicznie. Byłoby to ewidentne zaburzenie osobowości, patologia w czystej postaci, przypadek, który nie występuje nawet w świecie zwierząt. Tak więc nie jest poświęceniem zgoda na ukrzyżowanie własnego dziecka – to jest WYNATURZENIE. Co innego, gdyby Bóg sam zstąpił i dał się ukrzyżować, ale – jak głosi pismo – on wolał wysłać delegata... Tak, tak, powiedziane jest: „Stał się człowiekiem i umarł na krzyżu dla naszego zbawienia”, ale – zaraz! – Chrystus był/jest jego synem, czy był/jest nim? Poświęcenie polegało więc na tym, że stał się człowiekiem, czy że wydelegował swojego syna? (Więc jeśli dam sobie obciąć rękę sąsiada to też będzie poświęcenie z mojej strony?)

Nie wierzę w „Syna Bożego, który się począł z Ducha Świętego i narodził z Maryi Dziewicy”, bo skoro Bóg chciał mieć śmiertelnego syna ze śmiertelną kobietą to dlaczego nie zrobił go normalnie? Nie mógł, bo jest niematerialny? A Duch Święty jest?! A może za bardzo gardzi „tymi sprawami”? Brzydzi się i stąd ta historyjka o dziewictwie? Kobieta, która została zapłodniona bezinwazyjnie, urodziła dziecko i nadal pozostaje dziewicą jest w czymś lepsza, więcej warta od tej, która zrobiła to z miłości lub pod przymusem, w każdym razie straciła przy okazji bezcenną uszczelkę?

Jeżeli Matka Boska wiedziała PO CO rodzi syna, a mimo to powiedziała „Niech mi się stanie według słowa twego” – to tak naprawdę zachowała się jak członkini sekty, nie widzę w tym heroizmu. Ale jeśli wierzyła, że urodzi syna bożego, a dopiero potem dowiedziała się do czego jest on mu potrzebny – jest postacią niezwykle tragiczną, ale nie bardziej niż każda inna matka, która nagle odkrywa, że jej syn staje przed plutonem egzekucyjnym i musi zginąć, mimo, że walczył o dobrą sprawę. I tylko taka matka budzi mój szacunek i współczucie. Tylko taka może zaistnieć w mojej świadomości jako wsparcie w trudnych chwilach związanych z macierzyństwem.

A bóg?

Jeśli istnieje, to muszę sobie wytłumaczyć sprzeczność, która w każdym momencie może zburzyć moją i tak wątpliwą wiarę i zaufanie: jest to jego wszechmoc współistniejąca z obojętnością. Nie wiem jak mam sobie wytłumaczyć to zjawisko. Może jako dobry matkojciec (nie ma płci mam nadzieję!) nie rwie się do pomocy, bo:

- potrafi przewidzieć i ocenić nasze szanse na sukces – co z kolei prowadzi do oczywistego wniosku, że z góry wiadomo czy ten sukces odniesiemy czy nie. Ciekawe czy jest możliwość, że wygrywamy chociaż on w nas nie wierzył? Jeśli tak to znaczy, że nie jest doskonały w kwestii oceny sytuacji, lub:

- wie kiedy i czy w ogóle warto pomagać – czasem więc pofatyguje się pomóc nawet tym skazanym na śmierć. Z tego wynika, że pozostałych nie warto było ratować. Tak więc Ci co zginęli w mniej lub bardziej interesujących okolicznościach byli w jego oczach nieudanymi egzemplarzami..., lub:

- nie chce stwarzać precedensu – przecież wtedy ludzie w ogóle przestaliby dbać o siebie sami. No tak, ale z drugiej strony nawet jeśli dbają, to i tak ktoś niemiły może o świecie załomotać w drzwi...

Czy istnienie śmierci, przemocy i cierpienia przekreśla obecność Boga? Może i tak. A dlaczego wierzymy mimo wszystko? Może to jest tak jak z rodzicami: nagle odkrywamy, że Ci ludzie, których kochaliśmy ufny sercem dziecka nie są tacy mądrzy, piękni i bez skazy; uświadamiamy sobie, że tamci nie istnieją; że właściwie to są jacyś zupełnie obcy ludzie, których nasz dorosły rozum musi poznać i ocenić na nowo – mimo to kochamy ich równie mocno jak dawniej, a świat staje się pusty i zły gdy ich zabraknie.

Gdyby Bóg istniał, chciałabym żeby był kimś kto mnie zna i rozumie bez zbędnych słów, modłów, procesji i ofiar. Żeby uśmiechał się do mnie, a gdy trzeba budził nadzieję na lepsze jutro, na sens życia i na dobrą śmierć.

Gdyby istniał, byłby właśnie taki, bo ludziom niepotrzebny jest ani bierny kibic, ani nieuważny animator ich losów, ani sędzia i kat w jednej osobie. Niepotrzebny, bo kibicowanie to tylko podglądanie i aplauz lub wyzwiska; bo za kreowaniem naszego życia nie idzie odpowiedzialność i opieka na której, naprawdę można polegać; bo istnienie sędziego i kata nigdy nie powstrzyma ludzi przed popełnieniem zbrodni – to nie działa! Kiedy ratuję dziecko sąsiadki przed ojcem psychopatą, to czy można powiedzieć, że mnie - niewierną zesłał Bóg? To znaczy, że pomimo przedstawionych powyżej przekonań jestem warta jego zainteresowania? A może jednak dziecko sąsiadki może liczyć TYLKO na mnie, na moją ocenę sytuacji, wrażliwość i odwagę?

Skąd więc we mnie taka potrzeba wiary, że ktoś gdzieś jednak czuwa? A może mój Bóg – to ja? Może mój Bóg – to mój rozsądek, który zmusza mnie do optymistycznych poszukiwań sensu? Może mój Bóg różni się od wszystkich innych tym, że nie budzi grozy i kontrowersji, a daje odwagę powiedzenia tego co właśnie zostało powiedziane?